

NIE PŁACZ MAMO

Wrzesień na Wołyniu c.d.

Kiedy ochłonałem z pierwszego wrażenia, zrobiło mi się wstyd przed moimi gniadymi. Ładnie to tak samemu chować głowę do bruzdy, a poczciwe konie zostawić na pastwę losu? Przecież one bardziej były narażone na trafienie kulą niż ja, drobne, nie wyrosnięte chuchro. A mimo to strach gniadych nie obleciał. Po chwilowym tylko przepłoszeniu uspokoiły się i jakby nigdy nic stały sobie w miejscu. Natomiast mnie, skulonego przy ziemi, dość długo nie opuszczała strachliwa obawa, że któryś z niemieckich lotników zawróci znowu, aby na mnie i na koniach zaprzęzonych do pługa sprawdzać celność strzałów wypuszczanych z karabinu pokładowego. Bo widać, taka już natura hitlerowskich rozbójników. Z dziką rozkoszą uprawiają swe zbójceckie harce, czując się w tym bezkarni chyba z powodu słabości naszego lotnictwa myśliwskiego. Moją chlubą byli tacy wspaniali piloci, jak Żwirko i Wigura. Z pewnością mamy takich wielu. Oni daliby nauczkę powietrznym bandytom, ale widocznie brakuje nam bojowych maszyn latających i dlatego wróg opanował polskie niebo.

Tak wyglądał i na tym się skończył mój bezpośredni kontakt z wrześniową wojną. Ja i moje gniade wyszliśmy z tej opresji cało. Mniej szczęścia mieli tego dnia moi szkolni koledzy z sąsiedniej ukraińskiej wioski o nazwie Kołmów. Akurat wypędzali krowy na pobliskie łąki w dolinie rzeczki Lipy, do której brzegów przylegało i nasze pole. Prawdopodobnie ten sam harcujący lotnik niemiecki wypuścił do nich karabinową serię. Wnet dowiedzieliśmy się, że jednego z pastuchów kula zraniła w nogę, postrzelonych zostało kilka krow. Najciężej poszkodowaną trzeba było dorznąć ku ogromnemu zmartwieniu wielodzietnej rodziny biednego, ukraińskiego chłopca.

Kończył się nasz roboczy tydzień. Nadchodziła trzecia niedziela pełnego wojennych napięć miesiąca - 17 września. Byłem spragniony świątecznego odpoczynku, a może jeszcze bardziej spragniony nowych - oby wreszcie pocieszających - wiadomości ze świata. Kontakt z nim, za pomocą słuchawkowego radia, coraz bardziej nam się urywał. Parokrotnie na początku tygodnia chwytałyśmy jeszcze warszawską falę, następne próby nie dawały już rezultatu. Radio Warszawa ostatecznie zamilkło. Czyżby defekt w aparacie odbiorczym? Chyba nie, gdyż w słuchawkach dają się czasem słyszeć audycje w języku niemieckim i rosyjskim. Te pierwsze rozszyfrowuje Staszek nauczony co nieco na lekcjach niemieckiego w Korpusie Kadetów. Z tego, co rozumiał, wynika rzecz straszna: że Hitler lada dzień wkroczy do oblężonej Warszawy i Polska padnie pod jego ciosami.

Żadnego pocieszenia na tę niedzielę nie przywiózł nam tato z Beresteczka. Wielce strapiiony unikał rozmów o wojnie. Półśłówkami zbywał nagabywania sąsiadów. Nam oświadczył tylko jedno: cokolwiek się wydarzy - siać trzeba. Poinformował też, że na kilka dni pozostaje w domu, aby uporać się z terminowym siewem ozimej pszenicy i żyta.

W niedzielny ranek poszliśmy na nabożeństwo do kaplicy urządzonej w domu Korenkiewiczów na skraju osady. I tu dopadła nas bulwersująca wiadomość: idą Sowietci! Obwieścił to przybyły do naszej wioski z religijną posługą ksiądz Kobyliński. Dokonując objazdu polskich osiedli, rozrzuconych z dala od centrum beresteckiej parafii, zjawił się jak zwykle na wysłużonym rowerze i z podwinietą sutanną, aby mu ją łańcuch nie wciągnął w rowerowe tryby.

Zapanowała konsternacja. Ludzie snuli różne domysły. Na pomoc nam Ruscy idą? Razem Hitlera bić będziemy? Ktoś jednak prostował, opowiadając to, co niewyraźnie zasłyszał z jakiegoś radia. Sowietci do wojny nie przystępują. Zawartego w sierpniu układu z Niemcami nie zrywają. Wygląda na to, że w innym celu Armia Czerwona przekroczyła wschodnią granicę Polski. Podobno w zamiarze wzięcia pod opiekę ludności ukraińskiej i białoruskiej. A do tego jeszcze takie gdzieś zasłyszane przez radio z Moskwy tłumaczenie Ruskich: Polski już nie ma, bo prezydent, naczelny wódz ze swoim wojskiem i cały rząd uciekają z kraju do Rumunii. I że wojna faktycznie skończona. Czyżby to wszystko było prawdą? Co wtedy stanie się z nami? Jeżeli Sowietci zaopiekują się naszymi sąsiadami Ukraińcami, to jak potraktują nas, Polaków?

Nikt z mieszkańców Łobaczówki normalnie chyba nie przeżywał odprowadzania w tym dniu nabożeństwa. Wszyscy trwali w napięciu, oczekując dalszych, pewniejszych wiadomości. Nasz ojciec nie wytrzymał. We dwóch z Pazikiem sprzęgnęli się i co koń skoczy pognali do Beresteczka, aby z urzędu gminy chwycić kontakt ze światem i zdobyć rozeznanie w rzeczywistej sytuacji. Pazik wrócił sam późnym wieczorem, przywożąc potwierdzenie tego, co usłyszeliśmy rano. Ojcu - z poczucia obowiązku, czy też z jakiegoś otrzymanego z góry polecenia - wypadło pozostać na wójtowskim posterunku. Jesienne siewy musieliśmy jednak odłożyć na później. Znów ta fatalna siła wyższa...

Rosjanie mieli nadejść lada dzień. Zadomowieni u nas, przyjęci w gościnę uciekinierzy pośpiesznie opuszczali wieś, kierując się z powrotem na zachód. Gnał ich tam strach przed Sowietami, niepokój o to, co dzieje się z ich domami, pozostawionym dobytkiem i bliskimi z rodziny. W kierunku Lwowa wyruszył również Ślązak swą limuzyną, do której udało mu się zdobyć trochę benzyny. Dla miejscowych Polaków oczekiwanie na Rosjan było wypełnione trwogą. Wprost przerażenie ogarniało naszą mamę i inne wiejskie kobiety, które pilnie czytywały „Rycerza Niepokalanej”. Czegóż tam nie pisano o komunistach i bolszewikach! Toż to wcielone diabły, nie ludzie. Jak oni wyglądają naprawdę? Co z nami zrobią?

Upełnęły chyba całe dwa dni wypełnione tymi trwoźnymi pytaniami. Nikt z nas nie odważył się wyjść na drogę, kiedy syn sąsiada Gawlińskiego, o rok od mnie starszy - Franek, zdyszany wpadł na nasze podwórko z wiadomością, że od strony Kołmowa jadą na koniach jacyś trzej kawalerzyści w innych niż polskie mundurach. Mama i obie siostry zaszły się w mieszkaniu razem z najmłodszymi braćmi. Woleli ukradkiem zerkać przez szyby okien wychodzących na drogę. Franek Gawliński, pierwszy urwis i wodzirej wśród chłopaków we wsi (za parę lat,

jako żołnierz 2 Korpusu Polskiego, padnie w boju pod Monte Cassino we Włoszech) górował i teraz nad nami odwagą. Mnie, Staszka i Zdzicha wyciągnął w pobliże drogi, by zza płota zarośniętego malinami obejrzeć krasnoarmiejców. Zbliżali się wolno koń przy koniu. Każdy z jeźdźców oglądał się to w lewo, to w prawo, jakby za czymś śledzili, czegoś wypatrywali. Nie uszliśmy ich uwadze, kiedy znaleźli się tuż - tuż. Zatrzymując konie, jeden z nich odezwał się - o dziwo! - prawie po naszemu:

- Dawajcie bliżej, chłopcy! I nam powiedziec, czy polskich żołnierzy tu nie ma, albo policjantów i drugih ludzi z bronią.

Ośmieleni przez trójkę zwiadowców zapewniliśmy ich, że daremnie tutaj szukać takich umundurowanych, co noszą na wierzchu broń. I że broni żadnej w domu i poza domem nie schowaliśmy, bo o to też pytali.

W udzielanie odpowiedzi na zadawane pytania angażowali się głównie Staszek i Franek, jako najstarsi z naszej chłopięcej czwórki, która nawiązała pierwszy kontakt z radzieckim patrolem. Nikt inny z pobliskich domów na to się nie zdobył.

Mnie bardziej niż rozmowa zajmowało uważne obserwowanie kawalerzystów Armii Czerwonej. Ich obraz jakoś mi zupełnie nie pasował do wyobrażeń o strasznych bolszewikach - diabłach wcielonych. Wyglądali na zwyczajnych młodych ludzi, nawet potrafili się uśmiechać, prezentując chwilami sympatyczny, aż nazbyt łagodny wyraz twarzy. W przeciwieństwie do naszych ułanów, co mnie również zaskoczyło, nie mieli ani szabel, ani lancy, tylko karabiny zawieszane przez ramię na byle jakim parcianym pasku, a jednemu zwiślał przypięty do pasa rewolwer. Krytycznie w myślach oceniłem ich umundurowanie. Do porównania służył mi efektowny mundur kadecki Staszka i budzący zachwyt ułański uniform, w którym niedawno paradował po wsi Karol Waś, mieszkaniec pobliskiego przysiółka, gdy przebywał na przepustce wojskowej, jako że musiał zastąpić przy zniwach swego chorego ojca. Polskie mundury - to prawdziwy szyk i elegancja, a te jakieś bardzo szare i biedne. Spłowiwały drelich spodni, marne buty bez ostróg, płaszcz u każdego jakby nie wykończony lub źle uszyty, bez obrębenia na dole, ze strzępkami zwisających nitok.

Spotkany patrol radziecki oznaczał, że tutaj skończyła się już Polska, że inną będziemy mieli władzę i że zupełnie odmienił się dla nas porządek wszelkich rzeczy. Czy gdzie indziej polskie wojsko jeszcze istnieje, czy broni się nadal? - tego wiedzieć nie mogliśmy w tym odciętym od świata zakątku Wołynia. W naszej osadzie zapanowała grobowa cisza. Najlepiej w milczeniu dawało się przeżywać to, co się stało i powoli oswajać się z tym, co przyszło tak niespodziewanie.

Natura moja i moich wiejskich rówieśników nie była skłonna do pogrążania się w ponurych utrapieniach. Niezależnie od wszystkiego rozpiełała nas ciekawość, ot, zwyczajna chłopacka ciekawość. Wciąż cisnęły się nam natarczywe, dręczące pytania: jakimi ludźmi okażą się przybysze ze wschodu? Jak będą z nami postępować? Co zarządzi nowa władza?

Poza trójką kawalerskich zwiadowców nikt obcy na razie u nas się nie pojawił. Pewnego dnia, pod koniec września, kiedy siew ozimin mieliśmy już za sobą

i akurat nie było innej pilnej roboty w polu, uradziliśmy w grupie chłopaków, żeby skutecznie swój zwiad, czyli podejrzeć innych Rosjan. Wojskowych i nie wojskowych. A dochodziły do nas słuchy, że na niezbyt odległej drodze łączącej gminne Beresteczko z powiatowym Horochowem, odbywa się duży ruch. Podobno przejeżdżają tamtędy kolumny sowieckich wojsk, transportowani są również cywile. Więc z ciekawości wybraliśmy się tam nie bez poważnych obaw i ryzyka.

Po przybyciu na miejsce, zaczajeni w przydrożnych zaroślach, zamieniliśmy się w obserwatorów. Właściwie dużego ruchu na drodze nie było. Co pewien czas przejeżdżał w tę lub drugą stronę samochód ciężarowy. Przeważnie z przykrytym ładunkiem. Trafiały się także ciężarówki wypełnione żołnierzami w okrągłych czapkach albo furażerkach z widoczną na nich czerwoną gwiazdą. Nic więcej nie jechało, jeśli nie liczyć kilku chłopskich furmanek, które obręczami kół wrzynały się głęboko w wyżłobione koleiny poszerzonej na tym odcinku drogi z rowami po obu stronach.

Ale coś jeszcze innego zwróciło naszą uwagę. W niewielkim oddaleniu, gdzie droga brała zakręt i kryła się za nim przysłonięta drzewami, spostrzegliśmy dużych rozmiarów unieruchomiony pojazd. Wyglądał dziwnie. Chociaż na kołach, nie był wcale podobny do ciężarówki. Odważny Franek Gawliński podszedł bliżej, my za nim. Tu dopiero otworzył się przed nami zaskakujący widok. Oprócz tego jednego pojazdu zobaczyliśmy tuż za zakrętem inne żelazne stwory z gwiazdami na bocznej stronie. Trwały w bezruchu, jakby zepchnięte do przydrożnego rowu lub okraciem ustawione nad rowem. Pod nimi szerokie ogumione koła albo gaśienice. Wokół ani żywej duszy. Nachodziła nas ochota całkiem z bliska obejrzeć te dziwaczne, na pewno wojskowe pojazdy. Wyszliśmy z zagajnika na drogę.

- Nie kręcić się tutaj! - nagle ktoś zawołał. - Uciekajcie stąd, i to żywo, bo was krasnoarmiejec przegoni.

Zrazu przestraszeni, ochłonęliśmy na widok rosnącego chłopca, który wyłonił się z pobliskich krzaków. Prowadził na postronku krowę z drepczącym za nią cielęciem. Nawet nie pytany opowiedział nam, skąd się tu wzięło tyle wojennych maszyn. Przejeżdżało tędy dużo sowieckiego wojska. Jednej nocy na ostrym zakręcie przyhamowała któraś maszyna, w nią uderzyła inna, o tę zahaczyła znowu inna i tak pouszkadzało się dużo różnych pojazdów. A w innych miejscach, jak wyjaśniał nam krowi pastuch, nie było żadnych zderzeń, tylko coś psuło się w motorach. Unieruchomione pojazdy, za pomocą lin i transporterów, żołnierze ściągali tutaj, żeby zebrane do kupy lepiej upilnować. Bo okolicznych chłopaków nachodziła chęć do penetrowania tego żelastwa, wykręcania i zabierania rozmaitych części. Teraz wszystko to jest pod okiem uzbrojonego wartownika, który na chwilę gdzieś się oddalił. Oglądać niczego tu nie pozwala. Ciekawskich odgania krzykiem i groźbą strzelania do nieposłusznych.

Cóż, nie zaspokoiłiśmy swojej ciekawości. Ani Rosjan nie udało się nam dokładnie zobaczyć, ani z bliska obejrzeć te żelazne stwory, wśród których znajdowały się prawdopodobnie samochody opancerzone, lekkie tankietki, a może też

najprawdziwszy, bojowy czołg. Żałować jednak nie było czego. Liczyła się nie-mała porcja wrażeń, z którymi cało i zdrowo powróciliśmy do domu.

Nasz tato również powrócił z gminy. Na stałe. Władzę terenową przekazał w ręce nowo powołanej tymczasowej rady. Już nie gminnej, lecz rejonowej. Stali-śmy się mieszkańcami rejonu beresteckiego na Zachodniej Ukrainie.